

Spotkanie na pokładzie (II)

W numerze 11 (772) z 8 kwietnia br. zamieściliśmy w „Wiadomościach” pierwszą część opowiadania pt. „PILOT”, w ramach cyklu „Spotkania na pokładzie”. Leszek — bohater opowiadania, lecąc transkontynentalnym odrzutowcem z Indii do Polski, powraca myślą do swych młodych lat. Wspomina przyjaciół, lata nauki, swój pierwszy lot. Dziś jest już doświadczonym pilotem.

Poniżej drukujemy drugą część tej interesującej opowieści:

(rp) Iran! Leszek zagłębia się w zadumie. Szuka w pamięci chociażby encyklopedycznego rysu o tym kraju. Tak — pamięta — to dawna Persja, kraj wyżyn, od północy otoczony wzniesieniami Elbrusa, a od południowego zachodu Zagrosa. Na rozległych pustyniach walczył tu przed wiekami Aleksander Wielki, podbijając ziemie ówczesnych władów dynastii Achemenidów. Następnie był to teren wojennych wypraw Dżyngis-chana. Z dziełowych współczesnych wiadomo, że Persja leżała na tulaczey drodze żołnierza polskiego. Gdzie go zresztą nie było? — myśli melancholijnie.

Odwraca głowę w stronę okna. Coś tu się u licha nie zgadza. Może zdrzemnął się

„Załoga samolotu Polskich Linii Lotniczych „Lot”, prowadzona przez kpt. Tadeusza Krajewskiego, wita państwa na swym pokładzie i życzy przyjemnego lotu”. Gorąca fala oblała twarz Leszka. Nie. To niemożliwe. Czyżby to był nasz Tadek Krajewski?

Samolot szedł ostro w górę. Leszek miał ogromną ochotę na rozwiązanie zagadki. Chciał wejść do kabiny załogi, aby stwierdzić, o kogo Krajewskiego chodzi. Z Tadeuszem znał się od dawna. Przez wiele lat razem pracowali w rzeszowskiej WSK. Tadek był technikiem, pracował w TK, razem latali w miejscowym Aeroklubie. Pamięta doskonale jego starania o osiągnięcie odpowiedniego stopnia wyszkolenia lotniczego i o przejście do pracy w „Locie”. Chciał koniecznie pójść śladami innego pracownika naszej Wytwórni — Jurka Wojtyny, który w tym czasie już od kilku lat latał na liniach lotniczych.

Na wyjaśnienie swej niepewności Leszek nie czekał długo. W otwartych drzwiach kabiny ukazała się postać Tadeka Szuka! wśród pasażerów kogoś znajomego. Utkwił oczy w Leszku i uśmiech okraślił jego smagłą twarz. „Cześć stary słoniu” — rubasznym określeniem, nie zwracając uwagi na pasażerów, przywitał Leszka.

Skąd wracamy, co robimy, co słychać w zakładzie, co się zmieniło, czy pracuje X czy Y itd. itd. Serdeczna i długa była rozmowa starych przyjaciół. Widząc pytające spojrzenie Leszka, Tadek w mięt odpowiedział:

PILOT

i przespiał jakiś kawałek drogi? Patrzy na zegarek, tak to nie może być nic innego tylko Iran. Czas się zgadza. Zaskoczenie powstaje stąd, że zamiast szaro brunatnej powierzchni, której się spodziewał, zobaczył śnieżnobiałe przestrzenie. Cały kraj otulila wspaniała śnieżna pierzyna. Niecodzienne zjawisko na tych szerokościach geograficznych. Tegoroczna aura spłatała figla, sprawiając swą obecnością niemało kłopotu mieszkańcom tego południowego kraju.

Teheran minął zdecydowaną zmianą kursu. Z prawej w oddali siną wstęgą zbliżyły się brzozy kaspijskiego „Jeziora”. Ziemia znów zaczęła się gwałtownie fałdować, a ostre granie wystawiały swe zęby w stronę lecącej maszyny.

Rozejrzał się wokół. Obok drzemał tęgawy Anglik, trzymając pękate cygaro w ustach, dalej bardzo gadatliwe i głośne towarzyszyło włoskie, a po przeciwnej stronie cała hinduska rodzina, która — jak zwozyczał nakazuje — zasiadła w lotniczych fotelach „po turecku”. Stewardessa podała drugie śniadanie, a następnie pogodnym i miłym głosem zachęcała do obejrzenia filmu, który za chwilę miał zostać wyświetlony na pokładowych ekranach.

Podróż dobiega końca. Leszek dokonuje podsumowań swego pobytu w Indii, szereguje informacje, wyciąga wnioski osobiste i te na użytek służbowy. Są zbieżne.

Przez kilku laty nastąpiło w jego życiu niecodzienne wydarzenie. Nowy polski samolot i nowy napęd do niego. Doroczne wyróżnienie państwowymi nagrodami. On w gronie wyróżnionych. Uściski dłoni, gratulacje, reflektory. Nie, to przecież nie o to chodzi! Ważne jest to, że trud i wysiłek określonej grupy ludzi i określonych zakładów nie poszły na marne. Nie żał nieprzespanych nocy, długich godzin ślęczenia nad trudnymi i nowymi technologicznie sprawami. Jest w nich cząstka pracy Leszka...

Była godzina 10, kiedy potężny DC-8, przebywszy jednym skokiem gigantyczną trasę z Delhi do RFN, dotknął kołami startowego pasa we Frankfurcie nad Menem. Potężne klapy wysklepiające skrzydła, rewers silników oraz hamulce wstrzymały bieg samolotu, który po chwili majestatycznie zaczął kołować boczną drogą lotniska na miejsce swego postoju.

Wir dworca lotniczego porwał Leszka. Odprawa celna, bagaż, informacje na temat najbliższego odlotu do Warszawy i inne drobne sprawy sprawiły, że ani się obejrzał jak siedział w fotelu innego, nieco mniejszego odrzutowca, który leciał do Polski.

Znajomym dźwiękiem zagwizdały silniki, a z głośników pokładowych popłynął głos:

— Nie martw się, zostawiłem tam doświadczoną załogę, a poza tym dziś samoloty prawie same latają. To nie to bracie, co w Aeroklubie. Wybrałem się do Rzeszowa, muszę odwiedzić rodziców w rodzinnej podprzeworskiej wiosce i kolegów. Spotkamy się na pewno i zorganizujemy wieczorek wspomnień. Zapraszam z góry. Pomyśl, to już 10 lat od chwili, gdy opuściłem Rzeszów. Często jestem myślami, tam u Was na południu. Na początku „lotowskiej” kariery latałem po kraju, odwiedzałem znajomych, teraz — jak widzisz — moje szlaki wiodą innymi drogami.

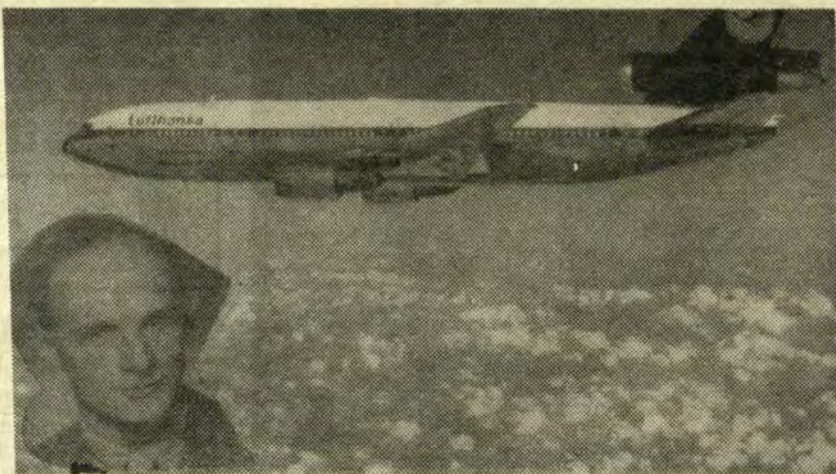
Przelatując często korytarzem, który biegnie nad rzeszowskim lotniskiem w Jasionce. Patrzę w dół i szukam w pamięci młodzieńczych lotniczych i zawodowych początków. W takich chwilach robi mi się jakoś ciepło koło serca. Słyszę czasem Wasze głosy w radiu pokładowym, kiedy leccie na Okęcie lub na inne lotniska. Myślę wówczas, że gdyby nie uśmiechnął się do mnie los wtedy, gdy starałem się do „Lotu”, byłbym dziś z Wami. Cieszę się, że WSK Rzeszów w ostatnich latach osiąga tak duże sukcesy w produkcji lotniczej. Miło jest mieć świadomość, że i w tym przedsiębiorstwie posiada się cząstkę swego życia.

Przez moment w otwartych drzwiach kabiny błysnęły swą tajemniczością pokładowe przyrządy współczesnego odrzutowca. Powiało specyficznym zapachem, czerni obić chętnie powaga, a kolorowe światelka na pulpitych wprowadzały w inny jakby świat. Świat Tadzika. Każdy wybrał swój. On ma kabinę samolotu, inni niezliczoną ilość technicznych problemów. A przecież drogi nasze są zbieżne. Praca każdego z nas przynosi określone korzyści i wartości. Jest ona źródłem życia. Z niej bierze się świadomość właściwego miejsca w społeczeństwie.

Jeszcze chwila zadumy, kilka energicznych zwrotów samolotu i charakterystyczne przyciszanie silników. Maszyna schodzi w dół. Wykonuje szereg nakazanych przez „wieżę” manewrów, po czym, wprowadzona na ścięgno schodzenia, precyzyjnie pędzi w stronę betonowego pasa.

Była godzina 14 tego samego dnia, w którym o 7 rano opuścili egzotyczne Indie. Ucielił gwizd silników. Pasażerowie zbliżali się do drzwi. Leszek stanął na płycie warszawskiego lotniska. Ruszył w stronę lotniskowego autokaru, po czym „wylądował” pod windą i nowoczesną kabiną Warszawskiego Portu Lotniczego.

Energicznym i wysportowanym krokiem ruszył przez tłum, przeciskając się do wyjścia. Za ciasny już ten dworzec. Niedługo trzeba będzie pomyśleć o budowie nowego. Nie braknie pracy dla naszego pokolenia. Pchnął szklane drzwi i owiany chłodem, stanął na warszawskiej ulicy. Do domu jeszcze 300 km...



Mgr inż. LESZEK DROŻDŹ — główny specjalista d.s. konstrukcji i remontów silników lotniczych w OBR, bohater opowiadania, na tle lecącego samolotu zachodniemieckiej „Lufthansy”.